

KATHE KOJA



DZIWNE ANIOLY

KATHE KOJA



DZIWNE ANIOLY

 SAGA
EGMONT

Kathe Koja

Dziwne anioły

Tłumaczenie Robert Lipski

Saga Kids

Dziwne anioły

Tłumaczenie Robert Lipski

Tytuł oryginału *Strange Angels*

Język oryginału angielski

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 1997, 2022 Kathe Koja i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728352991

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Budowi

*Chciałabym podziękować Sandy Beadle,
Lou Jacobsowi i wszystkim tym, którzy
cierpliwie i wyczerpująco odpowiadali na moje
pytania, zwłaszcza zaś Melody Asplund-Faith,
hojnie dzielącej się ze mną czasem i doświadczeniami.*

*Wdzięczna jestem także Barry'emu N. Malzbergowi
za nieocenioną krytykę.*

*Rickowi Liederowi, jak zawsze, przesyłam wyrazy
miłości
i podziękowania.*

CZĘŚĆ PIERWSZA

GRANT

*Nikt nie mówi prawdy,
kiedy czegoś pragnie.*

Elizabeth Bowen

Jej włosy na poduszce i pusta, biała filiżanka przy łóżku.

Granta obudził znajomy ból głowy. Odwrócił się, by jej dotknąć; długiego, pozbawionego krągłości ciała, srogiego jak stylisko siekiery, jak manekin ze stali. Stary, muzealny posąg z brązu — takie było jej piękno.

Filiżanka na notesie, jak skalny odłamek przytrzymujący papiery, a pośród zapisków dużymi, czarnymi literami wykalfigrafowano STERNE-HUSEY, poniżej zaś nagryzmołone przez nią, jak kura pazurem słowa, których, patrząc pod tym kątem, nie potrafił odczytać. Miała spotkać się z kimś o czwartej.

Z klientem? Z lekarzem? Leżąc obok niego, mruknęła coś przez sen. Czy spała? Prawdopodobnie nie. Zorientował się, że mu stanął. Erekcja była widoczna nawet pod kocem — narzędzie, którego nie zdecydował się użyć.

— Która godzina? — A więc miał rację, nie spała, jej głos był zbyt ostry jak na tę chwilę tuż po przebudzeniu. Najwyraźniej planowała już swój dzień, jedno spotkanie po drugim, krok po kroku, podparta na łokciach.

— Grant, która godzina...

Zapomnij, że ci stoi. — Za dwadzieścia.

Przechyliła się i spogląda ponad nim, aby samodzielnie odpowiedzieć na pytanie.

— Ósma czterdzieści jeden — jakby żadna z podanych przez niego informacji nigdy nie była dokładna, czy wręcz prawdziwa; odcisnięte ślady narzuty na piersiach. Wstaje i idzie do łazienki. Najpierw radio, potem woda. Ósma czterdzieści dwie. Nie miał dziś dokąd pójść, żadnego powodu, by wstać. Z wyjątkiem jej chłodnego uśmiešku. Wychodząc, spojrzy na niego, spowitego w kokon pościeli i powie: — To do wieczora. Jakby pomiędzy rankiem a zmierzchem mógł się stąd w ogóle nie ruszyć. A potem wyjdzie, a on wstanie. Wściekły, umyje się, ubierze i usiądzie przy stole w kuchni, dociskając zbyt mocno jedno kolano do ściany. No właśnie, i co wtedy? Zużyła resztkę kawy, i co teraz?

Nazywali to „sabatowością” wobec przyjaciół — tych, którzy zawsze wiedzieli wszystko lepiej i tych, których to nie obchodziło, nie chciało obchodzić, czy w ogóle miał pracę. Dla nich był zaledwie jeszcze jednym przedstawicielem szarego tłumu, niezależnie od tego, czy pracował czy nie. Nieważne kim był, nie był jednym z nas.

Johnna była jedną z nas. Z nich. Terapeutką, leczącą chorych sztuką. Grant spotkał kiedyś agenta literackiego, który powiedział: — Zarabiam pół miliona dolarów rocznie, a mój ojciec wciąż nie potrafi pojąć, czym się właściwie zajmuję. Tak samo było z pracą Johnny — była chodzącym tytułem, lekarskim kitem bez ciała, które by go wypełniało, bez formy.

Nie spodobała się jej historia z agentem i wcale nie oczekiwał, że zareaguje na nią lodowatym spojrzeniem i posępną miną. — Mój ojciec rozumie doskonale, co robię... Jedną dłoń kładzie na kieliszku wina, drogiego wina, droższego niż mógł sobie pozwolić, ale co tam, wciąż starał się jej zaimponować. — W gruncie rzeczy, to właśnie mój ojciec...

— Nie w tym rzecz — z lekkim uśmiechem, nieco bardziej niż to konieczne, usiłuje jej coś wytłumaczyć. — Chodzi o to, że niektóre zawody są, ee, bardzo niekonkretne, bardzo...

Odstawia kieliszek na blat stołu, brzeg szkła nosi ślad jej szminki, ciemnej, w barwie drewna, mahoniu: — Czy robienie zdjęć owocom nazywasz konkretem? — Jej wargi się zwężają, uśmiecha się następnie, albo prawie się uśmiecha. Wargi sromowe — nazwał ją kiedyś jeden z jego kumpli; potrzeba jej tylko małej bródki. Wtedy to go wkurzyło, ale teraz powiedział to na głos, do siebie.

— Wargi sromowe — zimna kawa doprawiona słodzikiem, oszukana, na blacie stołu jej magazyny i czasopisma tworzą stertę, gdzie kiedyś stały cukiernica i solniczka; nie używała ani jednego, ani drugiego; potrzebowała dużo miejsca na wszystkie swoje rzeczy, książki: *Fenomenologia schizofrenii wyrażanej w sztuce, Najczęstsze motywy powtarzające się w omamach psychotycznych*. I cała ta współczesna psychologia. Zrób zdjęcie, wtedy będzie to miało dłuższy żywot. Nawet zdjęcie owocu.

W rzeczy samej nie zrobił ani jednego zdjęcia — choćby nawet owocu — od dobrych dziewięciu tygodni; nie wydawało się to długim okresem, ale było takim, i jak na beztroskie próżnowanie pioruńsko się przeciągało. Bo przecież nic nie robił, to znaczy próżnował, nieprawdaż? Spanie, jedzenie, czytanie gazet, czasami nawet dwóch dziennie. Przyrządzanie obiadu — czasami bywało, że Johnna nie mogła wrócić do domu na obiad, czasami przychodziła, ale tylko siadała na sofie, nie zdejmując płaszcza, z torebką i teczką przyciśniętymi do ciała jak wyczerpane dzieci, i wyjadała z pudełka krakersy serowe. Do tego czarna kawa, ale i tak zaraz usypiała. Kochała swoją pracę — tak w każdym razie mówiła, i to często, do niego, do innych terapeutów i innych

znajomych psychiatrów, kolegów po fachu, którzy od czasu do czasu wpadali na drinka, aby — uśmiechając się uprzejmie do Granta — zapytać: to jak, co właściwie robisz? A, jesteś fotografikiem, racja.

Czy kiedykolwiek kochał swoją pracę?

Fotografikę, tak, ona przynajmniej była określona; była sztuką, cudowna fotografika. Mary Ellen Mark i Joel-Peter Witkin, nigdy nie miał dość spotkań z nimi, ale przestał zabierać ze sobą Johnnę, stale zwracała uwagę tylko na powtarzające się motywy u pacjentów, mówiła o świetle jako o podświadomej metaforze, aż czasami miał ochotę wcisnąć jej dłoń do ust, aby się przymknęła. Zawsze uwielbiał fotografikę, poszedł do szkoły, aby nauczyć się kochać ją jeszcze mocniej i do niedawna przez pięć do siedmiu dni w tygodniu robił zdjęcia żywności, małych pudełek albo fragmentów maszyn. Miał kolegę, w zasadzie nie był to przyjaciel, który nic, tylko pstrykał fotki kosmetyków, przypominających muszle pudełek z cieniami, szminek, wysokich i sztywnych jak części ciała — żeńskie ekwiwalenty penisa — ale to, co robi, określił jako coś, co go wyzwala. Zarabiał u Maxa Factora dość szmalu, aby co roku móc wyprawiać się do Hiszpanii. Tymczasem czynsz za pracownię Granta podskoczył w górę, a roboty jakby ubyło. Johnna sugerowała, aby wprowadził się do niej, miała mniejsze, tańsze mieszkanie, mogła płacić lwią część czynszu. Mógłby robić zdjęcia, szukając w tym czasie pracowni dla siebie.

— Masz na myśli coś żywego — nie uśmiechnęła się, nie zrozumiała aluzji, i on również się nie rozchmurzył, miał dość. Był wypluty. Do diabła z mutrami, śrubami i owocami, kształtami w świetle lamp punktowych, które przyprawiały go o taką frustrację, że czasami miał ochotę je rozbić, spalić lub pociąć na kawałki. Jednak zamiast tego, przeniósł

całą zawartość swego atelier do magazynu (pomimo wygórowanych opłat), aparaty zaś schował do lamusa.

Myje swoją filiżankę i właśnie wtedy dzwoni telefon — pozwolił odebrać automatycznej sekretarce, bądź co bądź zawsze i tak dzwoniło tylko do Johnny. Na zewnątrz padało, blade rozedrgane linie, ściekające po szkłe, pociemniałe od kurzu, rozmazanych drobin i ptasich odchodów; wewnątrz też było ciemno, choć paliło się światło. Grant nałożył płaszcz, wsunął zziębnięte dłonie do kieszeni i zjechał na dół, w windzie cuchnęło jak w szafie pełnej wilgotnych szmat. Jedna z sąsiadek mocowała się ze skrzynką na listy, zapchaną na amen czasopismami — były grube, lśniące, błyszczące, pełne dostojnych, wypacykowanych twarzy — i nagle spojrzała na niego, jej usta rozchyliły się nieznacznie, jakby chciała zapytać: — Czy mógłby mi pan pomóc? Czy zechciałby mi pan to otworzyć? A on minął ją, nie aroganckim, ale szybkim krokiem, krokiem człowieka, któremu się spieszy, bo ma jakiś cel i konkretne miejsce, dokąd musi zdążyć.

W księgarni było siedem najświeższych magazynów dotyczących fotografii i przejrzanie ich wszystkich zajęło mu większą część ranka. Kolejne śliskie kartki, kolejne zdjęcia, których nie zrobił, a nie uczynił tego, gdyż nie odkrył jeszcze pełni swego talentu. Nawiasem mówiąc, czym charakteryzował się jego talent? Co jest twoją mocną stroną? — zapytywał go stale i wciąż jego doradca z miasteczka akademickiego. Masz słomiany zapał — co cię właściwie interesuje, Grant? Jak to co — fotografowanie owoców, ma się rozumieć. Skończył ten przegląd, kupując świerszczyka, jakieś głupie porno, i wyszczerzył się do kobiety za kontuarem, która nie odpowiedziała uśmiechem.

— Czy dla pana to już wszystko na dzisiaj?

— Tak, powinno wystarczyć — ale nie załapała dowcipu, no bo niby dlaczego? Czasopismo okazało się droższe niż przypuszczała, musiał być ostrożny. Johnna nigdy nie czepiała się forsy, ale on sam — z każdym wydanym dolarem — widział, że jego oszczędności, jak bryła lodu, topnieją, roztapiają się i nikną; kiedy to wszystko przepadnie, to co wtedy? Wracał wolnym krokiem, omijając kałuże, z czasopismem zwiniętym w rulon, zaciśniętym w rękę. W poczcie nie było dla niego nic, a na sekretarce jedna tylko wiadomość — Johnna zadzwoniła, by powiedzieć, żeby nie czekał na nią z obiadem, wróci późno, gdyż miała umówione spotkanie z klientem.

I faktycznie wróciła późno, tak późno, że już spał, obudził się ocieężały i dziwnie zziębnięty na dźwięk włączonej lampki na wysięgniku. Lekarskie szczęknięcie, piersi, figi i jej miedziane włosy splecione w gruby warkocz, którego tak nie znosił; warkocz Heidi, spoczywający na jej nagich plecach jak ukośna krecha w znaku zakazu mówiącym: nie, nie dotykaj. Na czarnym fotelu bez podłokietników, stojącym przy łóżku, spoczywała sterta jej książek, gruby plik prac specjalistycznych w miękkich oprawkach, jej teczka otwarta płasko jak usta, a wewnątrz niej szkice, fotokopie i zdjęcia, czerwień, czern i inne niepokojące barwy — rysunki jej klientów. Dwie górne, ciężkie smugi rzygowinowej żółci i coś pomiędzy, co wyglądało jak plwocina albo łzy zaschnięte w brudnym bryzgu, spięte razem i oznaczone literami, wypisanymi czerwonym atramentem: R.T.

— Johnna?

Robiła notatki, ostatnie tego dnia, zapracowane palce, zapracowane czerwone pióro, i powiedział to jeszcze raz: — Johnna! — Odwróciła głowę; wydawała się bardzo zmęczona.

— Co?

Jej figi miały barwę wyblakłego, akrylowego błękitu, jedna luźna nitka elastyku zwisała szara i wiotka niczym żyłka na tle jej uda. Pod oczyma wciąż jeszcze świeciła się wilgotna, nie wchłonięta warstewka nocnego kremu.

— Nic — powiedział i odwrócił się, a potem usnął zanim zgasło światło, pogrążył się bez opamiętania w objęciach Morfeusza, odwiedzając krainę snów: deszcz, zamki, pudła, pękające w szwach od upchanych w nich fotografii, wszystkie prace, które kiedykolwiek wykona zmuszony okolicznościami, aby porzucić osobistą dumę, nagiąć się i udowodnić, że pracował tam, gdzie niekoniecznie było jego miejsce... I nagle wszystkie pudła okazały się puste, tuziny skrzyń — metalowych, kartonowych, wilgotnych, drewnianych pudeł — spaczone i potrzaskane, a każde z nich oznakowane, oznaczone słowami, których nie potrafił odczytać, w języku tak starym i tajemniczym jak ten, którym posługiwaliśmy się, rozmawiając między sobą przed dniem naszych narodzin.

Obrócił się we śnie i obudził, aby poczuć obok siebie żar, koce podciągnięte wysoko i ciężkie od potu, tłuste jak pączkujące życie. Jego oczy otwarły się w ciemności, słabe zielonkawe światło z zegara na nocnym stoliku przypominało poświatę pewnych żyjących pod ziemią, trujących grzybów; to było jak leżenie obok wielkiego insekta, ogromnej, sekretnej poczwarki, oczekującej na przemianę, i powoli, z rozmysłem, jakby płynął, przesunął się na drugą stronę łóżka, tę pozbawioną ciepła, zimną i pustą.

Rankiem kolejny ból głowy, Johnna wyszła bez śniadania, a on ze wstydliwą przyjemnością spał smacznie do południa — a niby kto miałby się o tym dowiedzieć? Kogo to obchodziło? Znów się budzi, ból głowy jest większy, wzmożony nadmiarem snu, łyknąwszy aspirynę i popiwszy

kawą, staje przy umywalce, uczucie ciężkości po jednej stronie głowy — jakby posępna, zła krew odpłynęła, pozostawiając prawą półkulę puszeki mózgowej pustą jak filiżanka. Nieruchomieje niczym otępiałe zwierzę, któremu każą stanąć — bez inicjatywy, bez odrobiny impetu, który pchnąłby go naprzód. Zupełnie jakby czekał, odmierzając czas, oddzielając ciało i umysł, przygotowując je na tę jedną wielką chwilę, moment przemiany. Ale to było absurdalne, prawda, mogłeś przeżyć całe życie w oczekiwaniu na upragnioną zmianę. Zmarnowane życie, ale przecież swoje i tak już zmarnował, nieprawdaż? Przyznaj się uczciwie, czy tak nie było? Żądał coraz mniej i mniej, szedł na coraz dalsze ustępstwa i ta świadomość, niewiarygodnie naostrzony klin, nieuchronnie przywierający do jego kurczącej się skóry, napierający jak szkło w popękany lustrze, które ukazuje ci, jaki naprawdę jesteś — nie, nie wypełniony, lecz pusty. Próżny. Tylko — skoro jego życie było dotąd tak miętkie, puste i nic nie znaczące — dlaczego tak bardzo cierpiał?

I co dalej?

Następna wielka rzecz.

Miał tylko trzy talerze do umycia. Uporawszy się z tym, wrócił do łóżka; tego dnia w ogóle nie wystawił nosa za próg. Sny, cienkie i wiotkie jak stęchła woda i również jak ona nie przynoszące orzeźwienia; te same stare myśli, powracające na okrągło, głowa na poduszce, twardej i grubej jak cegłą, a on poruszał się wśród nich w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, igła kompasu wymierzona donikąd, ponieważ donikąd nie mógł się teraz udać.

— ...przynajmniej spróbujesz?

Trzyma w dłoni pół tosta, przygotował dla nich obojga omlety i tosty. Omlety serowe i świeża, mocna kawa,

miejsce na kolanie, gdzie dotykał ściany, bolało jak oparzenie: — Co? — Odwraca się na siedzeniu, nie było sposobu, aby odsunąć się od ściany, przynajmniej nie z miejsca, w którym siedział: — Nie dosłyszałem.

— Pytałam, czy spróbujesz jutro poszukać jakiegoś miejsca na swoją pracownię.

— Nie wiem. — Znów zmienia pozycję. — Może. Niewiele jest ofert, wiesz, w ciągu paru miesięcy raczej niewiele się zmieniło.

Szept, syk przez zęby, ale nie westchnienie; Johnna nie była z tych, które wzdychają. Podnosi filiżankę, na brzegu naczynia ślad szminki, ta sama brązowa szminka, może tą, którą ten, jak mu tam, fotografował. Nowy kolor wiosny to Sraczkowaty Brąz. Bilirubin. Przypomniał sobie swoją pierwszą pracę jako najemny fotograf wielkiej kompanii fabrycznej, naprawdę wielkiej, pracował tam jego koleś i to on go ściągnął. Prosto po college'u, pogrążony w głębokiej depresji, pstrykał zdjęcia uśmiechniętych i ściskających sobie nawzajem dłonie wiceprezesów oraz speców od motywacji, a także nie uśmiechniętych brygadzystów i nowych narzędzi — we wszystkich odcieniach szarości i brązu. Czerwony krawat był wydarzeniem, mógł stworzyć całą oprawę fotografii wokół jednego czerwonego krawatu. Rzucił to w niecały rok później i pamiętał, jak siedział na parkingu, usiłując rozerwać swoją laminowaną plakietkę z nazwiskiem — okazało się to niemożliwe. W końcu po prostu ją wyrzucił, GRANT COTTO, do kosza na śmieci u McDonalda, fałszywy uśmiech zatrzymany w kadrze taniego, kiepskiego zdjęcia z automatu, porzucony na rzecz innego, krzywego uśmiechu, jaki pojawił się wówczas na jego twarzy, kiedy — pojadając frytki — odjeżdżał w siną dal. Sądził, że się uwolnił.

Teraz i on odstawia filiżankę, pustą, z fusami na ściankach, usiłując spojrzeć prosto na nią, stara się nie odwrócić wzroku.

— Fotografowanie martwej natury nie jest tym, co chcę robić przez resztę życia. — „Naprawdę, może z pańskim darem umniejszania wszystkiego mógłby pan znaleźć pracę w reklamie, sir”. Może to właściwa pora, aby przemyśleć większość spraw, może, jeśli nie dostanę...

— Wiesz — spokojnie jak widz, stojący na uboczu, ale oferujący pomocną dłoń — wydaje mi się, że sporo na ten temat rozmawialiśmy.

Jej filiżanka na stole prawie styka się z jego, ucho w ucho, jak seks pomiędzy owadami, pomiędzy istotami bez widocznych organów płciowych.

— Mam wrażenie, że drobna terapia dobrze by ci zrobiła. John Russell z Penn Gen, gdybym do niego zadzwoniła, na pewno...

— O, nie — dużo głośniejszy niż zamierzał, zmusza się, aby ściszyć ten wewnętrzny głos, wymyć go zupełnie, ale on go korci, jest jak igła wbijająca się w plecy, drażniąca, gniew niczym lekarstwo, tak silny. — O, nie — ciszej. — Nie zaczynaj znowu. Nie potrzebuję żadnej terapii.

— A więc czego ci potrzeba? — Wciąż spokojna, bez cienia gniewu, czy taka była również wobec swoich klientów? Oni wyją i bredzą, ciskają farbami po całym pokoju, a wśród nich Johnna, siedzi spokojnie na krześle i mówi do nich: — Przypuszczam, że byłoby dla państwa najlepiej, gdybyście spędzili pewien czas w cichym pokoju, mamy akurat odpowiedni w Penn Gen. Czy wciąż istniało coś takiego jak pokoje ciszy, izolatki? Czy wtrącali do nich ludzi, czy zrobiła to dzisiaj? Czy robi to samo z nim?

— Grant. Czego ty chcesz?

Czego chcesz — kto po raz ostatni zadał mu to pytanie? Po pracy w firmie — kolejna, fotografowanie dla małego głupawego dwutygodnika. Początkowo miał wrażenie, że trafił do nieba, fotografia uliczna i w ogóle, ale skończyło się na kolejnych fotkach w rodzaju „uśmiech na przemian z uściskiem dłoni” — zdjęciach lokalnych polityków, obrazkach ze spotkań rady miejskiej i innych tego typu zebrań, więc rzucił również tę posadę, bynajmniej bez wielkiego żalu; nawet nie podarł na strzępy swojej plakietki z napisem PRASA, wykonanym czerwonymi, drukowanymi literami i z kolejnym zdjęciem, ale tym razem bez głupawego uśmiechu — bądź co bądź był trochę mądrzejszy.

Ale to było wciąż za mało; jako następną podjął pseudoredakcyjną pracę dla magazynu „City Lights”, gdzie fotografował, pozujących sztywno jak kołki, amatorskich modeli, a także drobne lokalne uroczystości. I chociaż nie miał do tego drygu, wmawiał sobie, że wciąż się uczy, w czym Elaine absolutnie się z nim zgadzała.

Redaktor artystyczny, toporna biżuteria i zdecydowane rozsmakowanie w awangardzie dopóty, dopóki nie zjawiała się w domu, w dzień powszedni, przed północą; otwarcie galerii, wystawy jakichś malutkich rzeźb z metalu, picie oleistego wina z plastikowych kubków stylizowanych na przyciemniane szkło, a potem — w jej mieszkaniu — seks na stojąco; pomiędzy winem a rżnięciem w pionie prawie się nie pojawiał, ale zdawała się to lubić, najwyraźniej lubiła go na tyle, że pozwalała mu na wykonywanie na boku jakiś dorywczych zajęć, był to początek jego pracy we własnym studio, ale wtedy jeszcze tego nie wiedział. „City Lights” przetrwało ponad trzy lata, ale do tego czasu dał się zupełnie ponieść wirowi pracy, robił zdjęcia fikusów, kompozycji kwiatowych, spotykał się z Johnną na obiadach,

jak również pieprzył ją na stojąco, ale tym razem sprawiało mu to większą frajdę — uczył się.

I czego jeszcze później się nauczył? Jak robić nudne zajęcia, prowadzić buchalterię, załatwiać sprawy z klientami. Johnna swoich również określała mianem klientów — czy była między nimi jakaś różnica? Kiedy zaczął tego nienawidzić — swojej pracowni, atelier, woni zimnych chemikaliów i pomarszczonych dłoni? Koniec końców nie zbliżył się ani trochę do odnalezienia własnego miejsca, jego miejsca, tej części życia, którą mógł uznać za swoją. Praca, owoc w jasnym świetle, zapomnij; i miłość. Czy Johnna była miłością?

Blade oczy, kiedy siedziała tak spokojnie, czekając na jego odpowiedź. — Czego chcesz?

— Jesteś bez zajęcia — oznajmiła, ale to nie było trafne określenie, to on był brakiem zajęcia, ot co, był brakiem, i to stanowiło sedno wszystkiego, jego jądro, bijące anemicznym rytmem serce. Chciał powiedzieć „chcę czegoś więcej, chcę więcej”, ale na to, czego pragnął, brakowało stosownych określeń, brakowało słów, to nie było życzenie, jakie może mieć dorosły, spragniony mocnych wrażeń czy ekscytujących doznań, lecz był to gryzący wewnętrzny głód, jakaś część jego jaźni wiedziała bowiem, ba, nie miała wątpliwości, że to, co miał w sobie najlepszego, umierało, dogorywało właśnie tutaj, w tym mieszkaniu, w tej pustce, w tym braku. Zupełnie, jakby nicość miała nazwę, a raczej jego nazwisko, czego chcesz? Nie wiem! Wykrzyknął. Nie wiem, czego chcę. Jak gdyby jego życie było nie kończąca się walką — nie o znalezienie drzwi, ale tego, co znajdowało się za nimi, tam gdzie mieszka ogień; nie tyle o sposób na dostanie się do środka, ale o odszukanie miejsca, gdzie można przekroczyć ów próg. Czy to ma jakiś sens? Nie? Może dla ciebie nie, w końcu czemu tu się dziwić, ty znasz swoje miejsce, nie musisz go szukać, znasz

swój pokój, bo tu się urodziłaś. Ciekawe, czy w ogóle zdawała sobie sprawę, jak drobnomieszczańsko wyglądała z upiętymi włosami i w luźnym szarym kostiumie. Spokojna córka Freuda z tytułem magistra sztuk pięknych i palcami rozłożonymi na blacie stołu, nie przywierała do niczego kolanem, mogła poruszać się jak tylko jej się żywnie podobało.

— Nieważne — mruknął, czując ten sam stary, wrzodowy, palący ból. — Kto by pomyślał, że takie nic mogło do tego stopnia zabołec. — Nieważne, coś wymyślę.

Sięgnęła ponad stołem obok filiżanek, by ująć jego dłoń; trzy palce.

— Muszę już iść — powiedziała — spóźnię się. Jeszcze ani razu w życiu nigdzie się nie spóźniła, najwyraźniej była to tylko wymówka, aby mogła wyjść szybciej z mieszkania, ale nie zwrócił jej na to uwagi, nawet nie powiódł za nią wzrokiem, tylko usiadł, dopijając resztę kawy, oglądając zdjęcia w gazecie i przeglądając ogłoszenia z tym samym, palącym bólem w karku, bólem drażniącym łzami podeszłymi do oczu.

Tej nocy w łóżku jej ramiona oplecione wokół jego talii, włosy jak konstrukcja kratowa, mozaika ułożona niezdarnie i niszczone kolejnymi jej ruchami do przodu i do tyłu, jego oczy zamknięte, gniewny wzrok wpatrzony w pustkę, w nicość, kiedy ją brał, zlany ostrym potem, mięśnie ud trzęsą się, naprężone, boją, ból poprzedzający wytrysk, a wtedy ona przesuwa się pod nim delikatnie, skrzywdzona. — Nie przerywaj — powiedziała. — Dlaczego przestałeś? — Jego członek mały i wilgotny spoczywał jak smętne przeprosiny na jej udzie; odwróciła się do niego plecami, aby sama się zaspokoić, biodra zaczęły podrygiwać w zdecydowanym, gwałtownym rytmie, jak dodawane kolumny cyfr, a kiedy było już po wszystkim, zapaliła lampę.

Pstryk, pstryk, notes na nocnym stoliku, na rozchylonych lekko kolanach fotokopie rysunków jej klienta.

Chciał zapytać: „Co ty tam widzisz?” Wielkie rozmazane smugi strzałek, wskazujących na niewielką postać z kresek, jakby nakreśloną ręką dziecka, na dodatek dziecka opóźnionego w rozwoju. Co to znaczy, co to oznacza dla ciebie? Długopis w zębach, ręce uniesione, kręci włosy pogrążona w zamyśleniu; mała postać otoczona strzałkami, czy ty wiesz, co znaczy tak się czuć? A gdybym to ja zrobił ten rysunek i włożył ci go do teczki, poznałabyś się na tym? Czy postawiłabyś mi trafną diagnozę, czy wysłałabyś mnie do Penn Gen? Czy w ogóle zorientowałabyś się, że to moja robota?

— Grant?

Blade oczy, absolutnie równo ułożony jasnoniebieski koc, zakrywający jej zgięte kolana. Czy miała podobne myśli jak on? Może wszyscy je mieli, może każdy...

— Grant, przesun się. Potrzebuję tu trochę miejsca.

Oczy znowu zamknięte, kiedy przesuwał się z ciepła w chłód, przemieszczając się tak, by jej przypadkiem nie dotknąć, jak rysowanie dwóch strzałek skierowanych w przeciwnych kierunkach, równoległych, ale skierowanych jedna w górę, a druga w dół.

Następnego dnia przy obiedzie kolejne rysunki; jasnoczerwony sos i czerwone kółka, przyniosła do domu oryginały. Papier wydawał się zadziwiająco tani, może nie stać ich było na nic lepszego. Do tego flamastry, czerwone i zielone, przesączające się przez papier jak płyny przez bandaż, ze starej, rozognionej rany. Jedząc, sporządzała notatki. Widelec i pióro, pióro i widelec.

Kawałki sera na stole, jasne i kruche jak drobiny łupieżu; zgarnął je dłonią na podłogę. Widelec, pióro i następny rysunek — żółty bohomas, jak żółtko jajka, wielkie, wyraziste słońce. Musiałeś być w nie lada depresji,

by używać tak jaskrawych kolorów. Notatki, notatki, zmarszczenie brwi, ruch szczęk — zucie i przejście do następnego, tym razem bez przebiccia kolorów. Musiał zostać sporządzony ołówkiem lub kredką. Kiedy zadzwonił telefon, nie poruszył się, z kolanem przyciśniętym do ściany, a kiedy po trzecim sygnale włączyła się automatyczna sekretarka, Johnna z pełnymi ustami, rozdrażniona, rzuciła: — Czemu nie podniosłeś słuchawki?

— Bo to zawsze do ciebie.

— Siedzisz bliżej — ale nawet poirytowana, wydawała się dziwnie zdystansowana, najwyraźniej rysunki pochłonęły ją bez reszty. Widelec i pióro, a potem tylko pióro, notatki sporządzane jej brzydkim charakterem pisma; gdyby nie jej nieskazitelna szczerść i uczciwość, pomyślałby, że udawała, czyż wszyscy lekarze nie bazgrali jak kura pazurem? Racja. Dociera do końca strony i podnosi się, musiała wysłuchać wiadomości, nie mogła skończyć obiadu ani notatek, nie dowiedziawszy się, kto dzwonił.

Rysunek leżał dokładnie pomiędzy notatnikiem a talerzem i, wytarłszy ręce, podniósł go, w pierwszym rzędzie zwracając uwagę na inicjały u góry. R.T., ponownie ten czerwony długopis. Rysunek był wykonany kredkami ołówkowymi w dwóch kolorach — szarym i różowym, barwach wczesnego poranka, sekretnych odcieniach mózgu. Przysuwa go blisko twarzy jak krótkowidz, szarość i róż, dłoń, która ich używała, była subtelna, niewiarygodnie subtelna. Kreski, to tylko kreski, ale spójrz tylko, jak się przecinają, łączą, zlewają, linie jak wstęgi, jak łuki glifów, jak język, którym ciało rozmawia ze sobą samym i kontaktuje się z wrzącym umysłem, a jaki może być umysł za oczyma, które postrzegają w taki sposób? Jakaż umiejętność, prymitywna, nie obeznana ze sztuką, kryształowa czystość musiała tkwić w tym mózgu i dłoni,

którą kierował — czy był geniuszem? Tak, to geniusz. A R.T. — co to mogło znaczyć? Inicjały, kryptonim, akronim, co?

Wyjęła mu rysunek z rąk — nawet nie usłyszał, kiedy podeszła.

— Oddaj to — ale bez cienia złości. — Nie powinieneś tego oglądać.

Odchyła się wstecz, trzęsą mu się ręce, dlaczego? To jest jak szok, wstrząs elektryczny, oparzenie, cień prześwietlenia rentgenowskiego, dziwne przecucie w sercu: — Dlaczego nie?

— Bo to ściśle tajne. Ot, co. — Ponownie siada na swoim krześle, unosząc rysunek, ale nie tak, by nie mógł go dostrzec.

— To właśnie robiliśmy wczoraj w Mapie. Zazwyczaj robię fotokopie, ale nie miałam czasu. — Łyk wody, zimnej, roztopionego lodu, na brzegu szklanki ślad szminki.

— Skończyliśmy późno, a potem miałam jeszcze umówione spotkanie z jedną z rekreoterapeutek — to prawdziwa suka, aż dziw bierze, że w ogóle pozwalają jej zbliżyć się do klientów. — Znów pióro w górze i otwarty notes — notatka na temat rekreoterapeutki? Terapia rekreacyjna. Wyplatanie koszyków, czy to była terapia zajęciowa?

— Najwyraźniej pracowała kiedyś w Clearwater. — Na wpół do niego, na wpół do kogo, do siebie? Do kogoś ze szpitala?

— On jest właśnie stamtąd.

— Kto?

— Robin. — Pióro znów się porusza, każda kropka nad „i” pobrzmiwa delikatnym brzękiem, melodyjnym, smukły czarny przedmiot uderza lekko o jej szklankę z wodą — czy to słyszała? Spogląda ponad nią, niezbyt ostentacyjnie, na różowoszary unikat, unikatowo smutny skądinąd. Robin z Clearwater, to wszystko brzmiało tak sielsko, że gdybyś

nie znał prawdy, gdybyś nie wiedział, że Clearwater był szpitalem dla psychicznie chorych, gdybyś nie zdawał sobie sprawy, że Robin najprawdopodobniej był szalony jak Kapelusznik, mógłbyś się oszukiwać. Czy zdrowie psychiczne było ceną za tę widoczną precyzję, tak nieludzką przejrzystość i wyrazistość, czy było to frycowe płacone przy bramach świątyni umysłu, a to, co powstało, stanowiło jakąś rekompensatę? Tylko to, a ja dam ci oczy?

Po obiedzie wykonała kilka telefonów, foldery ułożone w schludny stosik, jak odpowiednik uporządkowanego umysłu; czy porządek był czymś terapeutycznym? Po terapeutce sztuki można by się spodziewać odrobiny chaosu, żywego, spontanicznego nieporządku, czy nie po tym właśnie ich się rozpoznaje?

Niektóre teczki były oznakowane: „Maple”, „St John’s”, „M.T. Berry” — jej niedbały charakter pisma, wielkie litery, teczki w ulubionym przez psychiatrów, niebieskim kolorze. Nie schowała teczki Robina, ściślej biorąc zostawiła ją na wierzchu; może ucieszyła się, widząc, że zainteresował się czymś innym oprócz własnej osoby — czemu nie? On na pewno był zadowolony, bardziej niż zadowolony, w sposób, którego nie da się opisać słowami, czy krew w żyłach bywa szczęśliwa? Albo kość w otoczce mięśni? Ponownie uniósł rysunek, przekrzywiając go nieznacznie, niech światło spłynie po nim niczym woda, po czym przekrzywił karton w drugą stronę; te glify, jak oczy aniołów w szarych orbitach i długie, różowe soczewki, pozwalające wyjrzeć poza zaaferowaną tkanę powłoki światła i zobaczyć zasmucone mięso, które pod nim tkwi, czy to był smutek? Czy artysta koniecznie musi postrzegać we wszystkim smutek i żal, i czy pomaga w tym fakt, że jest pacjentem szpitala psychiatrycznego? Nie, klientem, nawiasem mówiąc, jakim klientem był Robin?

Johnna spotykała się z wieloma różnymi grupami, różnymi, trudnymi problemami; zaburzenia emocjonalne, nerwice, uzależnienia, schizofrenia, kim był on, pod jakim sztandarem wędrował?

— Johnna? — ale wciąż wisiała na telefonie, toteż ponownie przekrzywił rysunek, tym razem pod kątem czterdziestu pięciu stopni, i przysunął do twarzy, do oczu, śledząc wzrokiem sposób widzenia umysłu, który wydobył te szkice ze swojej ciemności, by zamącić jak patykiem powierzchnię stojącej wody jego własnej mentalnej czerni.

Ile jeszcze rysunków wykonał Robin, ile z nich miała Johnna? Kopie, oryginały, czy miała je tutaj?

Musiał je zobaczyć i zobaczył: Johnna! — Ale ona wciąż rozmawiała przez telefon, toteż dłońmi akolity uniósł rysunek w górę. Czyniąc to ponownie, potarł bolącym kolanem o ścianę, ale nawet tego nie poczuł. Nie reagował na ból, przesuwając karton w stronę kręgu światła wysięgnikowej lampy, i studiował w jej bladym, nagim i świętym blasku treść rysunku, dopóki nie pojawiła Johnna i z uśmiechem nie wyjęła mu go z rąk.

— Dlaczego nie?

— Grant. — Dłonie po obu stronach umywalki, lustro ciągle jeszcze zaparowane; wspólnie wzięli prysznic i pieprzyli się w silnych strugach wody. Wciąż naga, ręcznik owinięty wokół szyi, marsowe czoło, włosy ciemne od wody i ociekające metronomicznie kroplami do umywalki.

— Grant — ponownie — bądź rozsądny. — Johnna potrafiła mówić, jak na rozsądną kobietę przystało, potrafiła być rozsądniejsza niż ktokolwiek inny, takiego głosu się nie nabywało, z nim trzeba się było urodzić. Odłóż ten rewolwer. Zejdź stamtąd, Bądź rozsądny.

— On nie jest artystą, lecz klientem, moim klientem, i dopiero co wyszedł ze szpitala, jest jeszcze bardzo

niestabilny. Poza tym to wszystko jest wbrew tajemnicy zawodowej. A kimże ty jesteś, księdzem?

Silne, zdecydowane ruchy grzebienia, rozbryzgi wody wokoło i drobne kropelki na ścianie, a za nim, wciąż obecnym pod prysznicem: gruba, różowa rozgwiazda, jasnoczerwone zasłony, tak bardzo plastikowe, jak gorący jest zapach suszarki, rozwiewającej jej włosy Meduzy, czerwone węże, co zasłaniają jej twarz.

— Chcę tylko z nim się spotkać.

— Nie — głośno poprzez szum urządzenia. — Nie mogę tego zrobić. Nie powinieneś nawet oglądać tych rysunków.

Ale wiedział, że była w pewien sposób zadowolona, cieszyła się z jego zainteresowania i ni stąd, ni zowąd pokiwał głową, dwukrotnie, w zdecydowanie potakujący sposób.

— Prawdopodobnie masz rację — stwierdził, osuszając włosy wilgotnym, różowym ręcznikiem. — Ale stało się i je zobaczyłem. Johnna, one są niesamowite, niewiarygodne, przecież nie muszę ci tego mówić.

Spogląda w lustro i ona również potakuje — fakt, niewiarygodne, nie ma drugiego takiego jak Robin.

— Ale nie zamierzam zawracać mu głowy, nawet nie będę z nim rozmawiał, chcę go tylko zobaczyć, spotkać się z nim i to wszystko. Jasne? Może być?

Wzrok wciąż utkwiony w jej obliczu. Usta długie i zacięte, jak matka mówiąca „nie”.

— Nie — powiedziała. — Po prostu nie mogę tego zrobić.

Natychmiastowy gniew; bardzo silny, sam się zdziwił jego czerwoną, zaślepiającą mocą, ale wzruszył ramionami, a jego oblicze wyraziło tylko rozczarowanie. Unosi brwi i nie mówi ani słowa, a potem w milczeniu. Wychodzi, porzucając ręcznik w sypialni. Kiedy się ubierał, jego ręce drżały, dygotały tak jak w chwili, kiedy trzymał w nich pierwszy rysunek, mapę i paszport, ale wtedy nie wiedział

jeszcze, jak rozległa była rozciągająca się przed nim kraina, czarny landszaft, jak wiele zawierał niuansów i luk. I kto wiedział, gdzie leżała granica? Czy Robin to wiedział? A jeżeli tak, jak miał się tego dowiedzieć Grant, skoro stała między nimi Johnna, rozsądna i czujna, z dobytym tęnym mieczem terapii?

Wiedział, gdzie znajdowały się rysunki-fotokopie, ale i tak je powymyślał i zuchwale rozłożył na nie posłanym łóżku. Pozwoliła mu na to — weszła do pokoju i zobaczyła, ale nie powiedziała ani słowa i spokojnie zaczęła się ubierać, jakby prócz niej w pokoju nie było nikogo.

Pochylił głowę, jakby opuszczając wzrok, pogrążał się w leju barw — szarości i różu, tak, a przy drugim rysunku — szarości i błękitu. Lustrował bezkresną równinę zwodniczej czystości, oczyszczonej z kształtów czy niuansów, pustą — ale nie, studiował ten szkic z namiętnością rozbitka i wiedział, że rysunek nie odzwierciedla pustki, lecz ułomność — mroczny defekt, niczym kość, anormalnie rozrastająca się wewnątrz ciała, zmiana we krwi, która natychmiastowo zwiastuje rychłą godzinę śmierci.

Potem trzeci rysunek, mniejszy, wielkości pocztówki, czarnobiały, obrazujący z brutalną prostotą ból. Twarz, fragment oblicza, stający się częścią usychającego drzewa — coraz większe cierpienie, ślepe, szczątkowe oczy i dolna warga obwieszona mocno w dół, porośnięta mchem, platforma dla pajaków, towarzyszek śmierci podczas jej wieczornej przechadzki.

Trzy rysunki — ale było ich dużo więcej. Johnna nie chciała jednak zdradzić ich liczby, nie powiedziała, czy wykonywał jeden tygodniowo na sesji, a pozostałe w samotności — czy w ogóle zostawiano go samego? Czy mieszkał sam i gdzie mieszkał — nie był hospitalizowany, przynajmniej to mu zdradziła,

zatem musiał znajdować się w jakimś ośrodku przejściowym, domu opieki albo czymś podobnym. Czy aby na pewno? Nie wyjawiała mu nawet, dlaczego odbywała z nim konsultacje — jeżeli konsultacje były tutaj słowem odpowiednim. Czy stanowiły one część przymusowego leczenia? Na co cierpiał, na jakie zaburzenia, jakie wewnętrzne zaburzenie przysłało go do niej, terapeutki sztuką. Zupełnie, jakby Johnna mogła tamtemu powiedzieć cokolwiek na temat sztuki. Co mu powiedziała — i co usłyszała od niego?

Figi, bluzką, przechodzi, ocierając się o niego, roztacza woń lakieru do włosów. Czy Robin był bardzo chory, czy tylko trochę? Nerwica? Depresja? Psychoza maniakalna? Skoro był hospitalizowany, istniały szanse, że nie należał do tych, których Johnna nazywała „namieszkańcami”. Grant wybuchnął śmiechem, usłyszawszy to określenie po raz pierwszy, ale cóż, to nie była jego sprawa — nazewnictwo i wydawanie osądów nie leżały w jego gestii.

Gówno prawda, powiedział sobie w duchu, siląc się na nonszalancję, rozbawiony; przecież robisz to przez cały czas. Psychoza schizoafektywna, psychoza maniakalno-depresyjna, używasz tych terminów jak każdy lekarz.

Ten ostry, mocny głos; głowa, balansująca gładko na prostej szyi, niczym element doskonale zrównoważonej maszyny, łożysko kulkowe, łagodny, płynny obrót, dokonany dzięki warstewce oliwy.

— Nie jestem lekarzem — powiedziała dobitnie.

— A więc nie zachowuj się jak lekarka.

— Jestem terapeutką — jakby był głuchy i głupi. — Prowadzę terapię dla tych, którzy jej potrzebują. — Ale potrzeba jest tak szerokim pojęciem, nieprawdaż, potrzeba ma tyle rozmaitych znaczeń. Może oznaczać tak wiele. Albo nic. Czemu Robin cię potrzebuje, Johnna?

A może został zmuszony, by skorzystać z twoich usług, i to mu zostało postawione jako warunek opuszczenia zakładu zamkniętego, element stałej kontroli pacjenta poza terenem szpitala; słyszał, jak mówiła kiedyś o podobnych przypadkach. Weź lekarstwo albo wrócisz do szpitala. Pójdź na spotkanie z tą piękną panią, bo jak nie, znów znajdziesz się w Clearwater.

Ale co nie dawało mu spokoju, pomimo gniewu, to świadomość, że kłamała — tego typu warunki były swoistym zabezpieczeniem, sposobem na uwalnianie klienta od stanu półzależności, na niedopuszczanie do nawrotu choroby, a tym samym miały zapobiec rychłemu powrotowi klienta do szpitala. Labilny. Powiedziała, że jego stan jest bardzo zmienny. Dopiero wyszedł ze szpitala, to oznaczało, że musiał przebywać w jakimś domu opieki, chyba że powrócił do rodziny — lub na ulicę. Bezgłośnie tłumi w sobie podziw wywołany nie tym, co, ale jak wiele wiedział — słuchanie, przez cały ten czas, długie godziny spędzone w milczeniu nad drinkami, podczas których magazynował swoją wiedzę widza jak nie używane i pozornie bezużyteczne narzędzie, czekające na odpowiedni moment, na właściwą chwilę — na chwilę obecną. Teraz jest ci to potrzebne.

— Grant. — Staje nad nim, nie uśmiecha się, nie jest również zagniewana. Czyżby było jej przykro? A może żałuje? Nie, to raczej też nie wchodziło w rachubę, niemniej zdołał wychwycić coś ulotnego, coś ukrytego pod powierzchnią, bardziej jak mgiełka niż jak rtęć, ale był zły, zbyt wściekły, zbyt zagniewany, by to, co zauważył, móc nazwać, by ująć ją za rękę.

— Muszę już iść.

— W porządku. — Jedno i tylko jedno spojrzenie, nie wykonuje najmniejszego ruchu, by zebrać rysunki, nie przysuwa się ani o cal w jej stronę. I dopiero gdy się

odwróciła, uniósł wzrok, by odprowadzić ją spojrzeniem — włosy zaplecione w warkocz, szyja wyprężona, sztywna. Wyszła.

Ponownie skoncentrował się na rysunkach. Kolorowe kopie, zdumiewająco dobre, ale on potrzebował oryginałów, aby móc ująć je w dłonie i uważnie przestudiować, zajrzeć w oczy samemu artyście i powiedzieć bez ogródek: Pokaz mi. Mapy i legendy, mroczne światło, gorejące w ciemności, której nie rozjaśnia żaden inny blask; co widzisz, czy możesz mi to pokazać, czy mógłbyś mi pomóc, abym ja również to ujrzał?

R.T., Robin T. — Ilu Robinów T. miała na liście swoich klientów, ilu mogło ich być? Nie miał pojęcia, ale to nie znaczyło, że nie mógł się tego dowiedzieć.

Ósma czterdzieści pięć, tyłek ścierpnięty od siedzenia w zaparkowanym samochodzie przez ostatnie dwie godziny, ponownie przegląda czasopismo, które ze sobą zabrał — stary egzemplarz „Amerykańskiego fotografa”, szczytany od deski do deski. Dłonie wciśnięte w kieszenie są zimne jak lód, w głowie panuje pustka, przemyślał już wszystko, co miał do przemyślenia, był kompletnie wyzuty z myśli, czysty jak biała karta. Czy nie powinien tego robić? Czy to źle? Nie — odpowiedział sobie natychmiast, i potem znacznie wolniej: nie. To ona jest w błędzie, to ona się myli, wiedząc to, co wiedziała; wiedza, której się nie rozpowszechnia, ulega zepsuciu jak kwaśniejące mleko — a nawet gorzej, zanika, gnije w umyśle, podobna do egoistycznie odmawianej pożyczki zabawki. To moje, moje, aż nie zostaje z niej nic, prócz bryły pulpy, której dotknięcie budzi wstręt i odrazę — czy tego właśnie chcesz? Tego? Obserwuje przejeżdżające i znikające samochody, granatowe i szare w gasnącym świetle, aż robi się zupełnie ciemno, światła latarni powyżej